

PRAWO:

Siedzi przy mnie 16-letni chłopiec. Rozmawiamy. „Ja mam prawo, aby otrzymać wyżywienie — mówi. Ja mam prawo do tego, aby otrzymać ubranie. Ja mam prawo do tego, aby mnie ona utrzymywała. Zamilki.

Patrzę na niego i milczę. Długo milczymy. Wreszcie wyrzuca z siebie: — „Ona ma obowiązek mnie utrzymywać do lat osiemnastu”. Sympatyczna twarz, lekko zmrużone oczy, rozwichrzona, jasna czupryna. Patrzę na niego nie mogę uwierzyć, że wylał matce w twarz kubek gorącej kawy. „Jedyny mój syn” — mówiła o nim matka. „Jest celem mego życia”.

Chłopiec nie wytrzymał milczenia. — Dlaczego pan milczy? — pyta.

OBOWIAZEK:

— Rzuciłeś jedno, niezmierznie ważne słowo — obowiązek. Mówiłeś również o swoich prawach, powiedz mi proszę o swoich obowiązkach.

Patrzy na mnie, przymyka oczy i milczy. Długo milczy. Na twarz chłopca występują blade rumieńce. — Czyżby już zrozumiał?

Przeprowadziłem ponad tysiąc podobnych rozmów. Każdorazowo stwierdzam, że chłopcy moi doskonale znają swoje prawa i każdorazowo stwierdzam, że nie znają swych obowiązków. Zastanawiałem się dlaczego tak jest. Kto i kiedy popełnił błędy w procesie kształtującym psychikę dziecka? Czy dom, czy szkoła, czy też jest to następstwem „działalności wroga klasowego”, czym staramy się wyjaśnić sporo naszych błędów. Mówiąc o socjalizmie zbyt często przedstawialiśmy jego zdobycze, zbyt mało natomiast mówiliśmy o tym, jakie na młodzież, jakie na dorosłych nakłada socjalizm obowiązki.

Zbyt często mówiliśmy o socjalistycznej moralności. Zbyt mało o tym, jak wygląda moralność socjalistyczna na codzień. O tym, że zaczyna się ona od słów, — „dzień dobry”, że słowo „proszę” i podanie palta starszej osobie nie jest wyrazem przynależności do wrogiej klasy, a obraz młodzieńca z rękoma kwiatami po łokcie w kieszeniach i niedopałkiem papierosa niedbale przyklepionym do wargi w czasie rozmowy ze starszym robotnikiem, nie jest wyrazem proletariackiego fasonu.

Sądzi jeszcze duża część społeczeństwa, że zagadnieniem wychowania winny się zajmować tylko instytucje, których zadaniem planowym jest wychowanie. Sądzi, że za wszystkie błędy naszych dzieci ponosi odpowiedzialność pan nauczyciel, — że stopień niedostatecznej zachowania to wyłącznie wina nauczyciela, który się „uwziął”. Łatwiej napisać na niego skargę niż pomóc mu w wychowaniu swego dziecka. Trudniej zrozumieć również, że korzystanie z praw socjalistycznego społeczeństwa nakłada socjalistyczne obowiązki.

Coraz bardziej jednak dojrzuje świadomość w naszym społeczeństwie, świadomość odpowiedzialności jaką bierze ono za wychowanie. W naszym Zakładzie chłopcy często uprawiali bójki. Brakło nam nauczycieli wychowania fizycznego. Zwróciliśmy się o pomoc do Zrzeszenia „Budowlani”. Dwuletnia opieka tego Zrzeszenia, szczególnie zaś pełne pedagogiczne taktu postępowanie inż. Derdy i trenera Rogalskiego wprowadziły tradycję do zespołów naszej młodzieży wyrażającą się w słowach: „Sportowicie nie bije lecz walczy”.

Zdobycie mistrzostwa wojewódzkiego i wprowadzenie na ring kilku z naszych chłopów zmieniło stosunek pozostałych do sportu oraz zmianę stylu życia.

Opieka Zrzeszenia „Budowlani” nie ograniczyła się tylko do dziedzin sportu. Nasi absolwenci otrzymują poprzez zrzeszenie pracę i opiekę w okresie początkowym.

Niektóre Państwowe Gospodarstwa Rolne wykazują również dużą troskę o wychowa-

NOWY ŚWIAT

NA TEMAT »TRUDNEJ MŁODZIEŻY«

Kazimierz Napierała

dyrektor Państwowego Zakładu Wychowawczego w Owińskach

nie młodzieży. W czasie kilku letniej współpracy z kierownictwem i robotnikami Państwowych Gospodarstw Rolnych w Annowie i Trzaskowie w powiecie poznańskim, kierownicy tych gospodarstw — Wincenty Piwiński i Józef Gajewy nie ograniczali się do liczenia robocizny młodocianych.

Sami potrafili grupę chłopców przewieźć traktorem po wyprawie do Poznania, aby zakupić im bieliznę, obuwię, nowe garnitury. W gospodarstwach tych nie zdarzają się bójki, a chłopcy pracę wykonują należycie. — Mieszkają czysto, czytają prasę, rozwijają się prawidłowo.

Obserwując szczególnie u młodzieży samotnej ich postępowanie stwierdziłem, że w okresie kształtowania sobie samodzielnego życia nie są wdrożeni do gospodarowania się zarobkami. Zbyt mało wiedzą o oszczędzaniu, toteż bardzo często z braku opieki ze strony starszego społeczeństwa wadliwie zużywają zapracowane pieniądze.

Aby ustalić ich zainteresowania, oraz zbliżyć ich do celów swych marzeń, proponowałbym zorganizować „książeczki oszczędnościowe docelowe”.

Np. chłopiec marzący o rowerze, stu procentowym ubraniu, czy motocyklu — wykupuje zgodnie ze swoimi zainteresowaniami książeczkę docelową.

Na książeczki te ma prawo wpłacać lub wkładać znaczki odpowiedniej wartości, które winny być w sprzedaży nie tylko w urzędach pocztowych, ale we wszystkich sklepach sprzedaży i w kioskach „Ruch”. Jestem przekonany, że za szereg drobnych sum, które niejednokrotnie wykupuje się niewłaściwie, zakupione by znaczki docelowe.

Po wypełnieniu znaczkami książeczki do takiej sumy, która równa się wartości celu książeczki, młodociany, oszczędny człowiek przesyła ją do fabryki czy instytucji, która produkuje przedmiot jego marzeń i po kilku dniach otrzymywałby go. Rozumiem, że projekt ten ma szereg luk — ma jednakże cenną zaletę: zachęca! Wadliwie również zorganizowany jest sposób wprowadzania w życie samodzielne naszej młodzieży samotnej. I to jest prawdopodobnie jedną z wielu przyczyn, że młodzież samotna tak niechętnie, mimo przygotowania do życia, opuszcza państwowe instytucje wychowawcze.

Za przykład właściwego stosunku do wychowania mło-

dzieży niech posłuży list Fabryki Samochodów Osobowych, Działu Kadr, Warszawa, ul. Stalingradzka, skierowany do Państw. Zakładu Wychowawczego w Owińskach, a dotyczący jednego z wychowanków.

„W odpowiedzi na pismo Wasze z dnia 10. 12. 1955 r. — Dział Kadr zawiadamia, że ob. Braliński Janusz pracuje w naszym Zakładzie od 1. 12. 1955 w charakterze ucznia na odcinku szkoleniowym. Wyżej wymieniony jest pracownikiem chętnym, ale nie posiadającym zdolności ani inicjatywy do pracy w przemyśle metalowym.

Prośba ob. Bralińskiego została częściowo załatwiona: otrzymał 150 zł pożyczki na śniadania i ko-

lacje oraz bezpłatne obiady do 13. 1. 56. tzn. do pierwszej wypłaty. Mieszka w Hotelu Robotniczym.”

Opisane przykłady i spostrzeżenia świadczą, że dojrzała w społeczeństwie świadomość zbiorowej odpowiedzialności za wychowanie młodzieży.

Jestem głęboko przekonany, że gdyby zbiorowa postawa społeczeństwa w stosunku do zdarzających się jeszcze wybryków wśród młodzieży, z obojętną jaką jest, zamieniła się w czynną, a środek wychowawczy w stosunku do osób zakłócających porządek społeczny był dostosowany do stopnia odczucia osoby zakłócającej, wzrosłaby nie tylko dyscyplina społeczna, ale zmniejszyłaby się wybitnie ilość wykroczeń.

O nowoczesne centrum Poznania

Mgr inż. - arch. Mieczysław Skrzypczak

Warszawa ma swoje wsie, Kraków ma swoje przedmieście, a Poznań ma swoje wsie. Salomon Moskwy jest Plac Czerwony. Paryskie bulwary tętnią pełnią życia wielkiej stolicy. W Wenecji Plac św. Marka zachwyca zarówno neckich obywateli jak i co-

pruskiego przez społeczeństwo poznańskie jako widomy znak walki o przetrwanie narodowe i kulturalne. Zaborca jednak nie zezwolił na pobudowanie teatru w miejscu dostatecznie reprezentacyjnym i

scu budować nie należy. Zarówno w celu uniknięcia maroty wieczornej (jak w Warszawie przy ul. Kruczej) oraz z uwagi na uzasadnioną konieczność zwiększenia gęstości mieszkańców przypadających na jednostkę powierzchni centrum miasta.

Powszechnie wiadome jest, że według zasad nowoczesnej urbanistyki nie należy bloków mieszkaniowych budować w kierunku wschód — zachód w jakimś własnym biegu nie ulica 27 Grudnia, lecz bloki te należy orientować na kierunku północ — południe. Wymaga tego między innymi dążenie do jak najracjonalniejszego oświetlenia mieszkań słońcem. Przedłożony szkicowy projekt autora przewiduje je pobudowanie dwóch wieżowców mieszkaniowych po 11 kondygnacji (nie wyższych jednak niż PDT) ustawionych w kierunku północ-południe. Jeden z nich stwarza architektoniczne oparcie dla PDT i organizuje plac możliwy do wykorzystania czy to na pokazy mody czy inne imprezy. Obydwa natomiast wieżowce dają nową oprawę dla budynku Teatru Polskiego. Mieszkania w wieżowcach posiadałyby szereg zalet: dobre oświetlenie słoneczne (wschodnie i zachodnie), dobre przewietrzenie (wolno stojące), izolację od hałasu i kurzu ulicznego (nie tworzą bowiem jak powszechnie ślany ruchliwej ulicy), interesującą widoczność zarówno do zielonych wzniesień (jak placiki zabaw dla dzieci) oraz dalekie widoki perspektywiczne.

Idealem dla handlowców jest możliwość pobudowania swoich lokali w budynkach samodzielnych, wyłączone przez znaczone na cele handlowe. Budowanie bowiem czy to sklepów, czy lokali gastronomicznych w parterach budynków mieszkaniowych, ogranicza możliwości dobrego i funkcjonalnego rozwiązania pomieszczeń handlowych — zwłaszcza, że przez partery tych budynków mieszkaniowych czy biurowych przechodzą ze wszystkich górnych kondygnacji wszelkie instalacje, kominy, klatki schodowe, słupy, mury konstrukcyjne itp. różne inne elementy. Projekt przewiduje wybudowanie wzdłuż poszerzonej ulicy 27 Grudnia dwukondygnacyjnych 1-piętrowych budynków

handlowych, mieszczących w pełni nowoczesne sklepy, kawiarnie itp. o prawie nieskrępowanych możliwościach urządzenia.

Mimo woli nasuwa się uwaga, że powstająca w ten sposób powierzchnia ok. 7000 m² nowoczesnych lokali handlowych doskonale spełniłaby rolę targowego kiermaszu. — Bardzo ważny jest również fakt, że dyrekcja MTP czy też Wojew. Zarz. Handlu była by pełnym i samodzielnym inwestorem całej handlowej realizacji, łatwiej w takim układzie do szybkiego wybudowania, albowiem nad nimi nie byłoby już więcej mieszkań, a więc i przewlekłej konieczności czekania na pełne ukończenie całego budynku. Miasto Poznań natomiast uzyskałoby realny wkład w swą rozбудowę i to nawet z funduszy targowych. Projektowana jednopiętrowa zabudowa handlowa przerwana jest przed teatrem wyrastającym w ten sposób dostatecznie czytelnie ponad tak niskim otoczeniem.

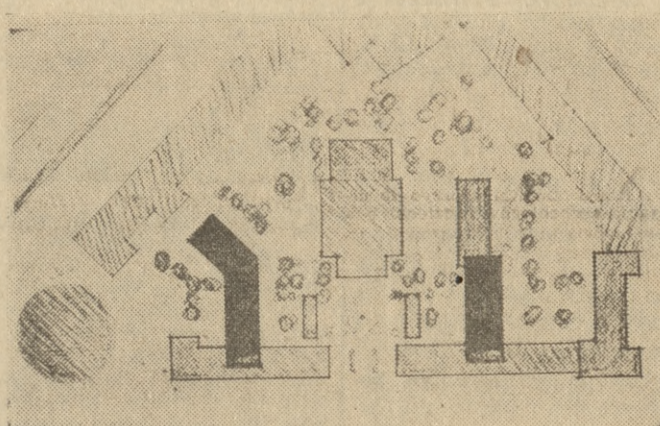
Powstały w ten sposób plac przed Teatrem oprawiony byłby dalej przez 2 parterowe kolumnadowe pawilony usytuowane na tle mieszkaniowych wieżowców.

Wnętrze całego bloku bogato zazielenione posiadałoby kilka placików do zabaw dla dzieci. Po wschodniej stronie teatru projektuje się wewnątrz bloku 5 kondygn. budynek mieszkaniowy wzgl. hotel dla artystów.

Wieżowce mieszkaniowe na osi PDT posiadają szerokie przesławy w parterze poprzez ustawienie na słupach. Zaoptimizację handlu odbywa się od wnętrza bloku, tj. od tyłu pawilonów handlowych.

Równocześnie z uwagi na brak szerszej wysokiej ściany wzdłuż ulicy mieszkańcy budynków istniejącej południowej ściany ul. 27 Grudnia uzyskują widok do bogato zazielenionego wnętrza nowoprojektowanego bloku. Bardzo istotne znaczenie ma również fakt, że proponowana koncepcja ustawienia wieżowców mieszkaniowych stwarza możliwość dwukrotnie większej ilości mieszkań aniżeli w tradycyjnie praktykowanym układzie stawiania budynków wzdłuż ulicy. Przy tradycyjnej bowiem metodzie wysokość budynku jest ograniczona szerokością ulicy. W danym przypadku, wg projektu autora — otrzymać można 1200 mb (szerokości typowego rzutu) powierzchni mieszkań, natomiast wg innych tradycyjnych układów uzyskać można najwyżej 600 mb powierzchni mieszkań.

Realizacja tego rodzaju projektu, który oczywiście wymagałaby jeszcze b. wnikliwego i wszechstronnego przestudiowania całokształtu zagadnienia, dałaby tej części miasta b. charakterystyczny i na pewno nowoczesny wygląd.



Plan sytuacyjny

dziennych licznych gości z całego świata. Tak więc każde poważne miasto ma swoje charakterystyczne i zdecydowane centrum — swój wielkomiejski salon, o którego reprezentacyjny wygląd i zabudowę dbają jego mieszkańcy.

Zespół zabudowy ulic 27 Grudnia, Marcina oraz Plac Wolności jest już na przestrzeni prawie wieku centrum Poznania. Centrum spełniające mniej lub więcej udanie rolę właściwego owego salonu naszego miasta. Teren ten siłą faktu przez długie lata jeszcze pozostanie tym salonem.

Plac Wolności doczekał się już interesującego rozwiązania w ramach ostatniego konkursu na pomnik Mickiewicza. Oczekiwano na niego jak na szybszej jego realizacji.

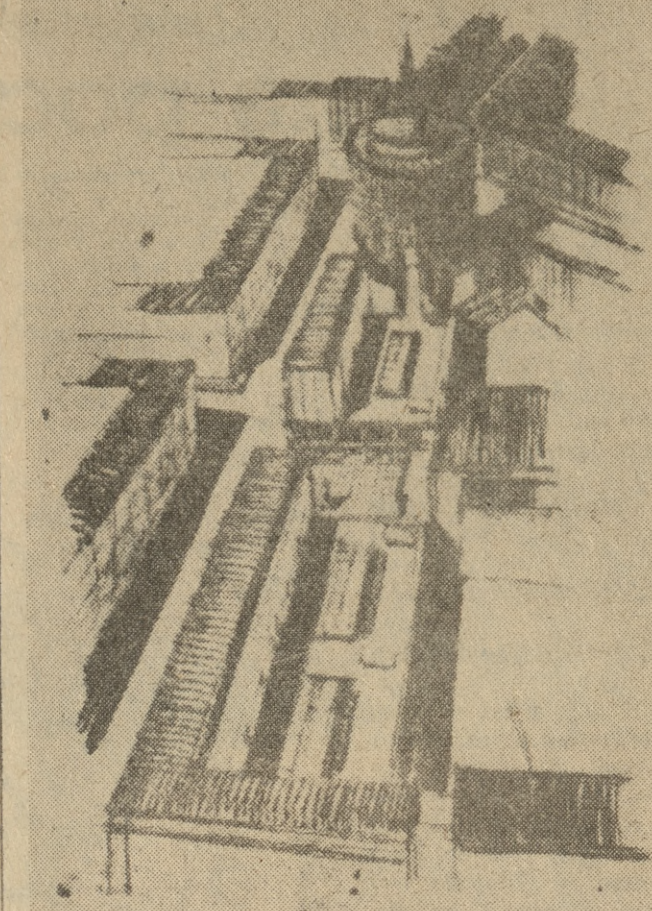
Bardzo trudnym natomiast problemem jest niewielki, bo tylko 200 m długi, lecz skomplikowany odcinek ulicy 27 Grudnia. Dlaczego skomplikowany? Na tym odcinku bowiem każdy element ulicy jest zagadnieniem urbanistycznym i architektonicznym. Poczynając od skrzyżowania ulic A. Lampego z ulicami Fre dry i 27 Grudnia przed PDT, trzeba bardzo poważnie i jak najwnikliwiej przestudiować sprawę, zawiązaną w tym miejscu węzła komunikacyjnego oraz jego oprawy architektonicznej. Dalej — poznański PDT jako wolno stojący, na wskroś nowoczesny i interesujący budynek jest przez swoje istnienie swego rodzaju „architektoniczną prowokacją” dla dalszych realizacji w swoim sąsiedztwie. Prowokacja, która zmusza do podporządkowania istniejącej architektury PDT sąsiednich zabudowań.

Idąc dalej mamy budynek Teatru Polskiego. Teatru wybudowanego podczas zaboru

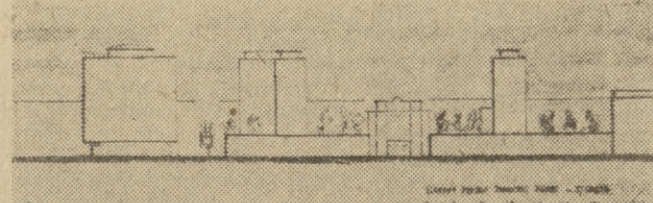
otwartym. Jak pamiętamy, teatr, był zasłonięty od ul. 27 Grudnia zabudową mieszkaniową. Dziś, gdy mamy przebudować zespół ul. 27 Grudnia — budynek Teatru Polskiego musi być nie tylko dopuszczony do widoku z ulicy, lecz powinien posiadać z całej nowej zabudowy taką o prawę architektoniczną i urbanistyczną, która wydobylaby Teatr Polski jako dominantę — projektowanego układu przestrzennego.

Następnym specyficznym punktem całej kompozycji jest miejsce, w którym ul. 27 Grudnia wchodzi w Pl. Wolności i spotyka się z budynkiem Arkadii. Postawiony tam budynek powinien tworzyć za równo dalszy ciąg zachodniej ściany Pl. Wolności, jak nawiązywać kompozycyjnie do szczytu Arkadii. Konieczność zapewnienia, możliwie dużej powierzchni na parking samochodowy w tym miejscu, przesądza o bezspornym fakcie odsunięcia budynku w głąb bloku, tj. w kierunku zachodnim. Zwiększenie natomiast samej jezdni w kierunku do Arkadii usprawni jedynie skrzyżowanie ulic w tym miejscu.

Rozważając funkcje nowo projektowanej zabudowy ulicy 27 Grudnia wydaje się oczywistym, że należy zlokalizować budownictwo mieszkaniowe o raz pełne nowoczesne usługi handlowe łącznie z kawiarnią przy PDT. Blur w tym miej-



Perspektywa na poszerzoną ul. 27 Grudnia projekt wykonany w pracowni urbanistycznej Miasta Poznań, Zarządu Architektoniczno-Budowlanego.



Tak wyglądałaby ul. 27 Grudnia z frontu

Z młodej poezji poznańskiej

JANUSZ SAUER

Czuwanie

Pośród niemej nocy
Kładziesz się forsycją,
A ja zapach chłonnę
Z łotek dźwięków licząc.

Twoja twarz to kwiaty
Toteż czuwam nad nią,
Z wielkim liściem ciszy
Jakby czarną magią.

Kiedy się rozbudzisz
W pełne słońca rano
Zdejme chłód owoców
Z sadu Twoich ramion.

Poznań 1956.

Gliniana waza

Człowiek jest wazą
a życie ręką artysty,

która nadaje kształty
proste i wypukłe.

Waza mieści rozum
i kwiatu wiotkie rysy.

Niekiedy bez młotka
zmienia się w skorupę.

Poznań 1956.

Dziwne początki

Starego aktora do tej pory nie zdążyłem poznać bliżej. Chwirut wyglądał mi raczej na milczącego. Nie sądziłem, że tak się rozgada. Okazało się, że potrafi dorównać Klimcekiemu, choć oboje mu jest wzburzenie i żywioł tamtego.

— Widzisz Władek — odwrócił do sąsiada wyblakłą twarz — nie masz racji. Pomyślałem to sobie, skoro tylko zacząłeś. Do teatru trafiliem jeszcze dziwniejszą drogą niż ty. Nie zgadniecie. Przywiodły mnie tutaj brody i wąsy, które ktoś sobie doklejał na warszawskiej Starówce.

Omiótił słuchaczy szybkim spojrzaniem.

— Ojciec mój był szewcem. Mieliliśmy warsztat na Podwahu. Podwale dwanaście — Słepa dwa. Słepa, to taka wewnętrzna uliczka, której nie ma od dawna. Ojciec, choć do cechu nie należał, gdyż pracował chałupniczo, zatrudniał czeladników. Robił obuwie dla Ledera i Szeinfelda na Nalewkach. W moim dzieciństwie czeladników było czterech. Najmłodszy, Święcki, nie miał chyba jeszcze dwudziestu lat, gdy go ojciec przyjął. Średniego wzrostu, brunecik o miłej twarzy i zapalnych oczach. Któż by go podejrzewał o nielegalną robotę. Przynosił czasem ulotki. Czasem ktoś go odwiedzał. Nie raz wprowadzał swych towarzyszy do ojcowskiego warsztatu. Zbierali się tam, ale tylko w poniedziałki. Nigdy w inny dzień. A wiecie wy, dlaczego w poniedziałki?

Oczywiście nie wiedzieliśmy, co ogromnie Chwiruta ubawiło. Podkoczył na kanapce, aż jęknęły sterane sprężyny.

— O szewskim poniedziałku nikt nie słyszał? Jakże to? Szewski poniedziałek, przepisowo, panowie. Czeladników nie było. W sobotę po wypłacie znikali do wtorku. A ojciec szedł tego dnia na Wólkę po skóry. Dla mnie poniedziałki były najbardziej przykre, a to wszystko z powodu tej skóry. Sypiałem w sionce, gdzie skóry moczyły się w cebrałkach. Śmierdziały strasznie. Czasem budziłem się jak zaczadziły. W ogóle mieszkaliśmy kiepsko, ciasno było i wilgotno, ale nie o tym chciałem. Zaraz, zaraz, co ja takiego...

Otóż w poniedziałki rozbiegali się wszyscy, bo i mama szła do łaźni na Nowy Zjazd. W domu było pusto, w warsztacie też. Wtedy zbierali się tam, zdaje się, że za wiedzą rodziców, sami nieznanymi mężczyznami. Z nimi młody Święcki. Czasem przychodził jeszcze Pawlicki, sąsiad z Piekarskiej. Podglądałem ich z ciekawości. Kopeili papierosy i fajeczki aż było niebiesko i i gadali.

Jednego poniedziałku zauważyłem, jak przed wyjściem na ulicę przemierzają sobie nawzajem wąski. Któryś doklejał także niewielką bródkę, jakie były modne.

Okropnie mnie te manipulacje zaciekawiły. Przejąłem się, ale nie nie rozumiałem. Zapytałem many; ojca poza szewstwem niewiele obchodziło. Od mamy dowiedziałem się, że poniedziałkowi goście są bohaterami.

— Oni muszą się ukrwować, synku. Ochrona ich ściga — walczą o wolność. Tylko nie mów o tym nikomu. Pamiętaj! — ucałowała mnie goręcej niż zwykle.

Przez długi czas żyłem pod wrażeniem sztucznych bród i wąsów. Pożał się Boże, coż to była za charakterystyka! Dziś za taką robotę wyrzuciliby z każdego teatru. Na przykład jeden miał włosy dobrze szpakowate, a wąsiki doczepił sobie jasnobłond. Ale i to wystarczyło, by mnie wytrącić z równowagi. Tajemniczość pojęcia, szczególnie w dzieciństwie. Gdy narzucili na siebie płaszcz z lufkami pelerynkami z tyłu, biegłem za nimi Podwalem. Na rogu Placu Zamkowego w węglarni kryli się często żandar-

mi i legitymowali przechodniów na wylocie ulicy.

Goście z ojcowskiego warsztatu udawali swobodnych eleganów, a ja drżałem z przejęcia, by ich kto nie rozpoznał. Lecz przecież tylko ja jeden znałem prawdę i wiedziałem, że każdy z nich, to ktoś całkiem inny. Udawanie przed światem kogoś innego stało się dla mnie odkryciem. Olsniła mnie swia-

małość. Stroiły się tam w biżuterię eleganckie damy i słynne aktorki.

Ojciec chciał, żebym został szewcem. — Pójdźcieś kiedyś do Hiszpańskiego — mawiał — i będziesz robił lakierowe buty, jakich nikt w Warszawie nie robi. Ale mnie ciągnęło gdzie indziej i matka dopilnowała, żebym dostał praktykę u Bożentowicza. Przyjął, gdyż oka-



Rys. L. Kapczyński

domość, iż można przybierać wygląd i pozór innych ludzi. Przedstawiać ich zachowanie, ba — może nawet ich losy. W dodatku byli bohaterami. Oszołomiony spoglądałem nienfnie na wszystkich na ulicy. Może oni też grali czyjeś role?

Biegłem zatem przez plac w stronę Krakowskiego Przedmieścia i śledziłem jak poboczy się gra pierwszych aktorów w moim życiu. Szli pewni siebie, spokojni, nie zatrzymywali ich nikt. Na rogu Miodowej gapiłem się długo na malejące sylwetki, aż dorybał z pulku wojnyjskiej piechoty, ściągniętej niedawno do niespokojnego miasta, chwycił za kark.

— Nie szlajetieś po Krakowskim Przedmieściu! — krzyczał mi nad uchem wyuczona spiewka.

Przeganił gapiów, gdyż cza sy były gorące. Często wybuchaly bomby. No cóż — był akurat dziewięćsetpiąty. Rewolucyjny rok. Dość na tym, panowie, że początki mega aktorstwa płyną z podziwu dla niezdarnej charakterystyki bohaterów. Oni pobudzili wyobraźnię, oni pchnęli na drogę, która doprowadziła mnie do sceny. Pamiętam dobrze, jak długo jeszcze z kilku niedorostkami, towarzyszącymi z naszego podwórka i sąsiednich kamienic, malowaliśmy twarze palonym korkiem, kleiliśmy także wąsy i brody, grając w zakamarkach posesji bojowników i żandarmów. Każdy z nas wykreczał się od ról tych ostatnich jak mógł. Odtwarzaliśmy także różne warianty zamachów na gubernatorów i oberpolicię, grając wreszcie historie rodzinne słuby, pogrzeby, czy nawet zajmowaliśmy się dramatyzacją sąsiedzkich plotek. Tym ostatnim sceny uczyłem najczęściej pod ciemnymi schodami. Tak, tak, to były właściwe początki, choć tylko ja jeden z tamtejszej gromadki poszedłem drogą aktorską.

Wypił trochę wina i oparł się na pluszowej poduszce. Z opowieści Chwiruta powiało Warszawą konnych tramwajów, drogą żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, manifestacji robotniczych i rodzinnych spławiących fotografii na grubych kartonach z głęboko tłoczonymi godłami fotografów.

Zdawało się, że Łyczewek drzemie od dawna i że dopiero teraz się ocknął. Pulchna dłoń odgarnęła z czoła zlepienia kosmyki włosów i sięgnął po pa pierosa. Musiał jednak słuchać, gdyż całkiem przytomnie włączył się do gawędy.

— A teatr, teatr, maestro? Kiedyś po raz pierwszy spojrział na ten folwark diabła?

Okazało się, że debiut w roli widza Chwirut przeżył rok później, w Teatrze Ludowym na Pradze. Pracował wtedy jako uczeń u grawera Bożentowicza.

zało się, że mam zdolności do rysunków. W krótkim czasie sam wycinałem prostsze monogramy.

Opiłki, które z sygnetów spadały na skórzany fartuch należały do terminatorów i uczniów.

— Topiliśmy je na węglu drzewnym. Potem zanosilo się złote grudki do żydka Barona na Bednarską. Próbował je kwasem solnym i dawał kilka groszy. A tani bilet do Ludowego kosztował dziesięć kopiejek.

— I jaką sztukę zobaczył pan po raz pierwszy?

— Grał wtedy farsę Szobera „Podróż po Warszawie” z muzyką Adolfa Sonnefelda. Tłumy wiali na Pragę. Był to carski teatr rządowy i miał za zadanie odwracać uwagę ludzi od tego, co się działo. „Podróż” cieszyła się fantastycznym powodzeniem. No cóż, może kilka słów o treści, którą oczywiście byłem oczarowany. Otóż przyjeżdża do Warszawy bogaty kiej z prowincji, Barnaba Fafuła, z dwiema córkami, Kocią i Kizią. Chce je dobrze wydać za mąż, a przy okazji zwiedzić miasto. Taka turystyka matrymonialna, moi drodzy. Już na dworcu spotyka różnych kawalerów, nabieraczy, dependentów adwokackich, wesółych subieków sklepowych. Najbardziej zachwycił nas Józio Grojseszyk. Grał go Tadeusz Pol, ulubieniec Warszawy. A Marysię, służącą Fafuły, do której, jak się w efekcie okazało, uderza Józio — śliczna Zofia Maibaum. Pół miasta się w niej kochało. Ja też z miejsca zadurzyłem się na zabój. Coż chcecie więcej? Siemdem odsłon: Saska Kępa, Ujazdów — gdyż kawalerowie oprowadzają Fafułę i córeczki po mieście. Była też scena w teatrze, dokąd się towarzystwo udało. Parodiowano znanych aktorów, śpiewano modne kuplety. Na przykład „Lekarz dam”. Inny pikantny przebieg warszawski kończył się refrenem: „Naszym hasłem, naszą metą — precz z kobietą! Precz z kobietą!” Albo piosenka o wyrzniętym koryfeje z baletu:

„Nie pomoże blansz i róż,
Kiedy panna stara już!
Drgającym głosem zanucił piosenkę o spławiłym wdzięku. Po każdej zwrotce milkł, jakby śledził odlatające echo.

Tymczasem za oknem kawiarni rozpadał się drobny deszcz, którego od dawna wyciekali ogrodnicy. Szemrał i wtórował piosence. Gdy Chwirut umilkł wsłuchiwałem się w dłuższą chwilę w zmienioną barwę nocejszy.

SPACEREM PO WIOSENNYM SALONIE

Przeżywamy obecnie w plastyce gorący okres walki o „Nowe”.

Liczne dyskusje, których uczestnikami, co zwaiają żywioł optymizmu i wiarę w przyszłość polskiej sztuki. Pewnie, że czasem w ferworze dyskusji mówi się i pisze wiele bzdur, wysuwa się wiele niesłusznych postulatów i stąd częste nieporozumienia. Ale fakt istnienia tych dyskusji, tworzenia się grup i ścierania poglądów, jest zjawiskiem pozytywnym.

Poznańskie środowisko plastyczne również ostatnio znacząco się ożywiło i przyłączyło do ogólnopolskich dyskusji. Dlatego z wielkim zainteresowaniem oczekiwaliśmy otwarcia wiosennej wystawy ZPAP. Pamiętamy dotychczasowe wystawy okregowe poznańskich artystów i nie mamy o nich najlepszej opinii. Plastycy tłumaczyli się wówczas, że nie mogą tworzyć tak jak czują, że są krępowani, że administrowanie kulturą, wskazywanie recept uniemożliwia im rozwój artystyczny i stąd słaby poziom wystaw. Od pewnego czasu zlikwidowano wszystkie zapory i wydawałoby się, że obecny klimat rewizji błędów niedawnej przeszłości świetnie sprzyja swobodzie twórczej i rozwojowi poszczególnych twórców w dowolnie obranym kierunku. Ubiegłoroczna wystawa jesienna traktowana jako pierwszy objaw przełomu w plastyce poznańskiej, przepowiadała w najbliższej przyszłości wybuch wyzwolonych talentów.

Cóż, wystawę otwarto, ale wybuch nie nastąpił. Wystawa jest ogólnie szara, nudna, konwencjonalna. Nie można zgodzić się ze zdaniem zawartym we wstępie do katalogu, że ze względu na wyrównany poziom wystawionych prac, wystawa w całości sprawia dodatnie wrażenie.

Ani poziom nie jest wyrównany, ani wystawa w całości

K. Racinowski

nie sprawia dodatniego wrażenia. W dziale malarstwa na co wybiła się kilka zaledwie prac, a pozostała ogromna większość nie przekracza prowincjonalnego poziomu. Najwybitniejszą dziełem Wiosennego Salonu jest niewielka praca Mariana Szymańskiego „Czerwony fotel”. Duża synteza formy, lapidarność rysunku i koloru idzie w parze z najściślejszą obserwacją natury. Kobieta siedząca w czerwonym fotelu jest bardzo prawdziwa, posiada dużo uroku i wdzięku. Obraz pełen światła i przestrzeni, mimo płaskiego traktowania płaszczyzny, posiada wielkie walory kolorystyczne. Dużo ekspresji i jakiegoś „kultu żywiołu” w przyrodzie posiadają dwa pejzaże Wacława Twarowskiego. Szczególnie frajapny jest „Wieczór w parku”, obraz pełen dynamizmu formy i koloru. Oba pejzaże są tym bardziej interesujące, że artysta już nieraz pokazywał na wystawach związkowych ten sam motyw pejzażu Poznania, ale nigdy nie osiągnął tak pełnego wyrazu artystycznego jak obecnie. Również wiele z namizmu posiada martwa natura Jana Piaseckiego. Obraz przeprowadzony bardzo konsekwentnie, raz jednak zbyt szarym, stłumionym kolorem. Interesujące są również prace Krystyny Bajtowskiej, Alfonsa Chojnackiego i Heleny Michałowskiej.

Dział grafiki jest dość skromny. Subtelne i pełne wyrazu są prace Andrzeja Kandziory. Szczególnie „Akt” posiada dużo liryzmu i wdzięku. Nowatorsko pokazuje pejzaż miejski Lech Susicki w swojej pracy „Na przedmieściu”. Miękką plamą, tak trudną do osiągnięcia w drzeworycie, dobrze wyraża sens tej impresji na temat miasta. Zadziwił nas na tej wystawie Franciszek Burkiewicz. Grafiki posiadające

wyraźne inklinacje w kierunku studyjnego pejzażu, tym razem pokazał dziwaczne drzeworyty barwne o tematyce karawajowej. Silenie się na nowość kosztem konsekwencji i nieporozumień formalnych jest w tych pracach szczególnie przykre.

Zastanawiający jest brak rzeźby na Wiosennym Salonie. Trzy banalne figurki Marii Wiśniewskiej i plakiety Józefa Stasińskiego nie mogą wypełnić tej luki. Czyżby rzeźbiarze poznańscy nie mieli nic do pokazania? Poznań jest przecież dość silnym ośrodkiem rzeźbiarskim, a niedawny sukces prof. Wojtowicza w konkursie na pomnik Mickiewicza zdawałby się potwierdzać poziom i aktywność rzeźbiarzy poznańskich. Tym bardziej dziwi nas ta biała plama na wystawie.

Wymieniłem tylko prace najbardziej interesujące i odkrywcze. Wydaje się bowiem, że w okresie szukania najwłaściwszych form wyrazu sztuki socjalistycznej niecelowe jest kultywowanie konwencjonalnej i dawno minionej sztuki. I szkoda, że ciekawa grupa R-55, która zaprezentowała swe dzieła niedawno w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, zagubiła się gdzieś na salonie związkowym. Czyżby jedynym reprezentantem grupy na zewnątrz miał być W. Twarowski? Pejzaże Psarskiej, Matuszewskiego, Kurki (członków grupy) są przynajmniej o klasę gorsze od prac, które pokazali na swojej wystawie i należałyby do najslabszych obrazów na Salonie.

Rzecz jasna, nie proste jest dokonanie przełomu w twórczości po długoletnim marazmie w sztukach plastycznych, przełomu idącego naprzód ku „Nowemu”, ale pamiętać należy zawsze o poziomie artystycznym, bo tylko ten jest gwarantem trwałości dzieła sztuki.

Nauka polska w zwierciadle edytorskim

W latach 1945—1950 uczeni polscy dokonali ogromnego dzieła odbudowy i rozbudowy zniszczonych warsztatów pracy. W ruinach domów Warszawy i innych miast, w pożarach i zgłiszczach spłonęły bezcenne nierzaz rękopisy, owoc długolentych studiów naszych naukowców. To, co ocalało z okupacji, trzeba było uzupełnić, zmienić, lub wprost opracować na nowo. Wstrzymało to nieco rozpęd twórcy naszej nauki, ale nie na długo. Tym bardziej stała się więc pilna potrzeba jak największej ilości edycji prac ocalałych i wydania nowych książek w czasie możliwie jak najkrótszym. Powstały wielkie spółdzielnie wydawnicze i wydawnictwa państwowe, lecz działalność ich była nie skoordynowana i nie dostosowana do potrzeb nowego, rodzącego się życia.

Akcję wydawniczą pchnął na nowo tory I Kongres Nauki Polskiej w 1951 roku, który nadał właściwy rozmach powstałemu w tymże czasie Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu. Dotychczas nie było żadnego planu wydawniczego, nie istniała żadna uzgodniona akcja wydawnicza. Wiele wydawnictw nie stało na należytych poziomach, a sporo rozpoczętych druków urwało się ze szkoda dla nauki.

W chaosie wydawniczym najbardziej ucierpiała młodzież szkół wyższych, bo nikt nie chciał drukować hierentownych podręczników. Studenci byli zmuszeni posilować się obok nie wydanych skryptami i podręcznikami obcymi, co uzależniało nas od nauki zachodniej. Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdy Państwowe Wydawnictwo Naukowe przejęło w swe ręce edycję prac naukowych, stając się szybko największą polską instytucją wydawniczą, która rocznie drukuje blisko 15 tys. arkuszy wydawniczych.

1000 dzieł naukowych w ciągu pięciu lat

W roku bieżącym upływa 5 lat od powstania PWN i oddziały poznańskiego zorganizowanego w maju 1951 roku. Jest to już jubileusz. Pięć lat nie stanowi wprawdzie wielkiego okresu czasu i można by o tym jubileuszu nie pisać, gdy-

Henryk Barański

by nie ogromny wkład naukowców do rozwoju naszej wiedzy w okresie 5-lecia. Jak w zwierciadle wklesłym, przeglądając katalog PWN, widzimy dorobek naukowy Polskiej Akademii Nauk, która temu wydawnictwu zleciła edycję swoich dzieł, prace towarzyszy naukowych a wśród nich Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i edycje Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

W czasie od 1951 roku do pierwszego kwartału 1956 r. Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało 1000 książek, 1500 skryptów dla szkół wyższych oraz 750 numerów czasopism naukowych. Tysiącna książka naukowa w pierwszym pięcioleciu po okupacji, to piękny dowód polskiej twórczości naukowej. Po zapoznaniu się z wydawnictwami PWN dochodzimy do wniosku, że obecny stan wydawnictw naukowych w Polsce pod względem ilościowym jest dopiero wyrazem wstępnej fazy rozwoju nauki w Polsce. Widzimy, jak stale rośnie sieć instytutów i zakładów Polskiej Akademii Nauk, jak wciąż pogłębia się i rozrasta front badań naukowych. Na początku 1956 roku PWN posiadało już 18 redakcji różnych dyscyplin wiedzy, a wśród nich tak aktualne, jak redakcje fizyki i chemii jądrowej.

Nowe prace na warsztacie

Dla każdego, który śledzi bieg rozwoju nauki polskiej, nieobca będzie wiadomość o nowych książkach, znajdujących się w druku. W redakcji PWN działu edycji filozoficznych na ukończeniu są prace: S. Nowaka — „Racjonalizm ariański” w okresie przedsojniczyński”, L. Chmaja — „Bracia polscy — ludzie, idee, wpływy”, T. Kronskiego — „Reakcja mesjanistyczna i katolicyzm w Polsce w I połowie XIX wieku”. Dotychczasowy brak nowych dzieł z zakresu etyki i estetyki wypełniają prace M. Fitzbanda — „O pochodzeniu, charakterze i funkcji moralności” oraz Lefebvrea — „Przyczynki do estetyki”.

Z zakresu historii ukazuje się wkrótce 3-tomowe dzieło zespołowe pt. „Walka narodo-wy-zwolenicza w okresie Potopu”

W. Kul — „Szkice z dziejów manufaktur w Polsce w XVIII w.” oraz prace zespołowe — „Historia Wrocławia” pod redakcją K. Meleczyskiego i „Historia Szczecina” pod redakcją poznańskiego uczonego G. Labudy. W toku są opracowania dziejów wsi i walki klasowej chłopów, miast i dzieje walk klasy robotniczej. Pracują nad tymi problemami duże zespoły naukowe.

Miłośników języka polskiego zainteresuje niewątpliwie przygotowywana obszerna „Historia języka polskiego” i „Wypisy do historii języka polskiego”. Gdy już mowa o lingwistyce, niewielu zapewne wie, że uczonej polski z Poznania J. Otrębski przygotowuje dla narodu litewskiego 5-tomową gramatykę języka litewskiego — dzieło unikalne. Pierwszy tom jest w druku.

Przytoczyliśmy tylko niektóre galezie tematyczne wydawnictw PWN, nie wymienając zagadnień ekonomicznych, prawnych i fizycznych. Osobno jednak trzeba wspomnieć o rozpoczętych pracach do wydania Wielkiej Encyklopedii, która się ukazuje w 1956 roku. Redakcja Encyklopedii Polskiej powstała w listopadzie 1955 r. Obejmuje ona około 50 tysięcy haseł. Na czele zespołu redakcyjnego stanął prof. dr Bogdan Suchodolski. Zespół nawiązał już łączności ze wszystkimi instytutami i ośrodkami naukowymi w kraju oraz z wydawcami encyklopedii w ZSRR i w NRD. Potrzebę nowej polskiej encyklopedii odczuwamy wszyscy, gdyż zarówno Wielka Encyklopedia Gutenberga, jak Trzaski i Everta są przestarzałe i nie odpowiadają obecnemu stanowi wiedzy.

Udział Poznania w PWN

Poznań w pracach edytorskich Państwowego Wydawnictwa Naukowego wysunął się najsilniej w dziedzinie matematyczno-fizycznych i historyczno-prawnych. Tłumaczy się to, jeśli chodzi o grupę pierwszą, przede wszystkim dobrymi warunkami produkcyjnymi Zakładów Graficznych Kasprzaka i Drukarni Naukowej, w grupie zaś drugiej — jest to wynik działalności żywego ośrodka naukowego, historycznego i (Ciąg dalszy na str. 5)



Jak rozpoznać kandydata?

John Steinbeck

lamach „Life“ (znany ilustrowany tygodnik amerykański, przyp. red.) dokonuje cudów. Oczywiście w USA małe dzieci nie chodzą do urn wyborczych. Lecz każdy kandydat tak daleko szanuje dzieci, jakby one miały co najmniej dwa głosy do oddania. Również wina żona należy do ulubionych rekwizytów kandydata...

Jeżeli nie posiada dzieci ani żony, wówczas wystarczy mu „matka-staruszka“, z którą kandydat serdecznie rozmawia na temat trudności życiowych. Dla miłośników zwierząt, demonstrowa kandydat również godne uwagi przymioty charakteru. Niejeden pies tak daleko wczuł się w swoją rolę, że mało spostrzegawczemu obserwatorowi trudno jest odgadnąć, który z nich właściwie kandyduje — pan albo piesek.

Orientując się w owych regułach gry, łatwo jest wymienić osobników żyjących pragnieniem znalezienia się w urzędzie. Kiedy na przykład Thomas E. Dewey stanowczo zaprzeczał, jakoby zamierzał kandydować, żona jego dała się ni stąd ni zowąd odfotografować w towarzystwie krowy. Niezaprzeczalny dowód, że kości zostały rzucone. Dewey, naprawdę postawił swoją kandydaturę, a walkę przedwyborczą przetrwał na wieś. Przyczyny jego porażki chcą niejeden znawcy tego zagadnienia szukać w jego żonie, która zamiast krowy, wybrała wołu i w ten sposób zubożyła zamiar własnego małżonka, powiązania demokracji z rolnictwem, skazała z góry na niepowodzenie.

Istnieje wiele niezawodnych wskazówek, aby kandydata rozpoznać jeszcze przed oficjalnym postawieniem przez niego kandydatury. Jeżeli patentowa nylajdak zaczyna nagle odkrywać w sobie zainteresowania do zagadnień bytowych; jeżeli obiecywał zabierać się do zwalczania domów publicznych; gdy businessman objawia chęć zbliżenia się do Murzynów, robotników i baseballistów; słowem, gdy Saul przemienia się w ciągu jednej nocy w Pawła, wówczas nie można o takim człowieku mówić, jak o kameleonie, lecz jak — o przyszłym kandydacie...

A biedni? Tych wystrzega się kandydat w okresie wyborczym niczym ognia. I nie spocznie, aż nie odszuka w swoim rodzie jakiegoś przodka, który był najwykleszszym kowalem. Takie sprawy, jak: „pola naftowe“ nie obchodzą go wcale. Za to amator przyszłych urzędów zaczyna zajmować się kłopotami farmerów (patrz fotografia żony z krową). Oczywiście, kandydat jest także za wolnością, przeciwko uciśkowi — stawa na cnoty i bije w grzechy. Rozpoznać go łatwo po rozmaitych nakryciach głowy. Na Południu nosi kandydat szeroki kapelusz teksaski, na Północy czapkę niedźwiedzią, w dzielnicach robotniczych czapkę z daszkiem, a na wsłach — kapelusz słomiany. Gdy występuje jako honorowy wódz plemienia indiańskiego — odpowiednio wystylizowane orle pióra; do szczególnie ładnie wygląda w pismach ilustrowanych. Niektórzy miedzianymi współobywatele USA twierdzą, że w latach wyborczych odkrywają się więcej wódzów indiańskich aniżeli samych Indian.

Lecz to wszystko jest tylko zwykłą przygrywką. Do otwartej kampanii o urzędy i urzędniki ukazuje się kandydat z wędką. Wędkowanie jest bowiem tanie i stąd należy do sportów ludowych; w ten sposób kandydat zyskuje legitymację prawdziwego demokraty. Za najbardziej demokratyczne

uchodzi występowanie z wędziskiem wierzbowym i ze starym garnkiem, pełnym pospolitych robaków...

Kampania wymaga, aby kandydat był przeciwko czemuś, albo za czymś. Kandydat walczy przede wszystkim z komunizmem. Tego wymagają po pierwsze — nie tylko zasady gry wyborczej, lecz jednocześnie podkreślany zostaje fakt, że kandydat jest w ogóle przeciwko czemuś; po drugie — również wszelkie rządowe nadużycia stają się tarczą, do której strzela kandydat.

Mniej uchwytna jest dziedzina spraw zagranicznych. Pewien burmistrz z Chicago wpadł jako pierwszy na taki



pomysł: postawił na walkę z Anglikami. Ponieważ w Chicago nie ma Anglików, więc kampanię rozstrzygnął na swoją korzyść. Metoda burmistrza z Chicago stała się wzorem dla innych. Kandydaci przestudiowali ją i doprowadzili do perfekcji. Wyborcy są niezadowoleni? Z powodu zbrodni? A więc winni są Rosjanie i Chińczycy. Trzeba im pokazać zęby! Naj-

ciekawsze jednak, że najczęściej bojowymi okazują się ci kandydaci, którzy są najdalej oddaleni od wieku poborowego.

Reguły gry są ostre i równe dla każdego kandydata. Wskazuje na to wypadek, który przydarzył się Adlai Stevensonowi. Jako kandydat nosił stale jeden i ten sam kapelusz, nie widać go było z żadnym psem i chodził wędkować tylko wówczas, gdy nie widział dookoła siebie reportera. Rzecz jasna, że człowiek ten przegrał kampanię...

Dobrze będzie, jeżeli w najbliższych miesiącach przeciętny Europejczyk, biorący pod uwagę tę analizę, nie będzie się starał każdego Amerykanina uważać za idiotę, który zachowuje się w ten sposób. Może się bowiem zdarzyć, że Amerykaninów należy do grona przyszłych kandydatów. Głupota bowiem posiada wszelkie cechy metody...

(Tłum. M. J.)



Fot. E. Kilzmann

SENSACJE LEŚNE

Wiele spustoszenia w naszym drzewostanie dokonała „ślepa“ siekiera. Pod jej ciosami padły olbrzymie lasy, rezerwuary wody, a na ich miejscu pojawiły się coraz bardziej stepowujące pola. Dziś staramy się wyrównać tę wielką krzywdę wyrządzoną przyrodzie, zalesiamy nie-

użytki, a zarazem pieczołowicie opieką otaczamy ocalałe od rzezi rzadkie już okazy drzew. Staramy się równocześnie stworzyć jak najlepsze warunki naszej faunie, aby uratować od zupełnej zagłady niektóre również rzadkie gatunki zwierząt.

Pod obowiązkową opieką administracji leśnej znajdują się cztery rezerwy z częścią w ochroną. Jednym z nich jest las mieszany w Promnie pod Poznaniem. Modrzew polski pod Noskowem (pow. Gnieźno) nie jest już narażony na złośliwą siekierę. W tym samym powiecie „Nowy Las“ zawiera chroniony obszar z wierzbami. Czerniejewski rezerwat składa się z naturalnego lasu liściastego.

Jedynym ścisłym rezerwatem leśnym jest obszar jeziora Dąbrowy pod Promnem (krajobraz roślinny i teren torfowiskowy). Wiele miłośników przyrody z Poznania i województwa domaga się utworzenia jeszcze jednego ścisłego rezerwatu leśnego, który ze względu na bogatą florę i faunę byłby miejscem nie tylko obserwacji naukowych ale i miejscem odpoczynku — chodzą tu o teren pod Mosiną, nazwany już Wielkopolskim Parkiem Narodowym. Sądzić należy, że niebawem zapadnie decyzja w tej sprawie.

Czy wystarcza ta ilość chronionych drzewostanów? Nie. Na terenie naszego województwa wiele jest jeszcze sensa-

cji leśnych. Słusznie postąpiły władze leśne, które wyznaczyły dalszych 52 rezerwy pod ochroną prawną, by ciekawym zabytkom zapewnić właściwą opiekę.

Mało kto wie, że na odcinku rzeczki Wełny (pow. Oborniki) od gorzeli, w wiosce o tej samej nazwie, aż do mostu (długości około 2 km) rozwija się roślinność i fauna potoków górskich. Jedynie gniazda kormoranów na naszym terenie znajdują się pod Krajkowem (pow. Śrem). Tam też w miesiącach letnich znajdziemy nie las, ale dżunglę, przez którą nie łatwo się przebić. Rzadki okaz paproci, długosz królewski, zadamował się w rezerwacie baszkowskim (pow. Krośnice). Starodrzew bukowy znajdziemy niedaleko Studzienicy w pow. obornickim. Najpiękniejsze modrzewie rosną w nadleśnictwie Czerwona Róża w powiecie kościańskim. Bardzo ciekawy jest rezerwat jałowców na łakach uroczyska leśnego Jurkowo (Czerwona Wleś) w powiecie kościańskim. Liczą one najmniej po 300 lat. W ich towarzystwie doskonale się czują krzewy ligustru i berberysu. Nadzwyczajną dynamikę rozwoju objawia również chroniony obszar leśny nad Wartą przy ujściu Lutyni. Tu też czują się doskonale siewy czaple, które urządziły sobie przysiółek. 80 gniazd.

Ze starymi dębami nie tak źle, jakby się wydawało. Pod względem wieku przewodzą „dostojnicy“ z Rogalina. Cząsy ostatniego Jagiellona „pamiętają“ również potężne dęby w „Kołnie“ (pow. Międzybóże). Inna grupa tych królów drzewnych znajduje się w Dębnie, niedaleko Rawicza.

A oto ciekawe skupiska zwierząt. W Nówkach pod Chodzieżą legną się młode żurawie. Na „Czaplich Wypasach“ w powiecie międzybózkim znajdziemy także czaple. Ze względu na odpowiednie warunki może wrócić tam jeszcze kormoran. Różnorodność ptactwa lotnego zrywa się raz po raz na „Mielnie“ w pow. końskińskim. W Obornikach od młyna Słonawy do ujścia Wełny zbiera się na tarlisko wiele gatunków ryb.

Nie wymieniliśmy wszystkich okazy naszej przyrody otoczonych już opieką. Jest ich znacznie więcej, bo oprócz tych 57 rezerwatów, wiele jeszcze rzadkich drzew doszukaliśmy się w naszych, zaniedbanych niestety, parkach.

Pamiętajmy o tych cennych zabytkach przyrody w naszym województwie. Szczególnie teraz, kiedy co niedługo wybierać się będziemy po słońce i odpoczynek hen, za miasto, do lasów, puszczy, terenów nadrzecznych. Chodzi o to, aby „weteranom“ przyrody nie stała się najmniejsza krzywdą. (p)

Fr. Hr.

Rozmaitości

Z początkiem roku 1957 zostanie w ZSRR wstrzymana produkcja lokomotyw parowych; w okresie czterech lat przemysł radziecki zbuduje z górą 2000 lokomotyw elektrycznych.

W licznych krajach zachodnich daje się zauważyć wzrost fałszerstw, dokonywanych przez kobiety w metrykach urodzenia. Poprawienie jednej cyfry (na przykład z 1904 na 1914) odmładza kobietę o lat dziesięć. Wszystko, aby nam się przypodobać.

„Wesele Figara“ zainauguruje doroczny Festiwal w Salzburgu (od 21 lipca do 30 sierpnia). Podczas dziesięciu imprez odegranych zostanie 200 utworów muzycznych rozmaitych kompozytorów.

Ostatnim tryktem nowojorskiej sztuki kulinarnej jest podmażana szarżacja podawana łącznie z cocktailami; głównym eksporterem tej specjalności jest Japonia, która dostarczała niedawno 150 tysięcy przedek odpowiednio spreparowanych owadów.

Niemieckie miasto Halle przygotowuje się do Piątego Festiwalu poświęconego wielkiemu kompozytorowi Haendlowi; w związku z tym wystawiona zostanie opera „Proro“, oraz oratorium „Salome“.

Brytyjskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt wystąpiło z publicznym protestem, przeciwko udziałowi księżniczki pary Monako podczas corocznej (walka byków) na wyspie Majorce. Protest uzasadniono zakazem kościelnym i względami moralno-publicznymi.

Przedsiębiorcy Szkoci, liczą się ze wzmożonym eksportem dżdżownic, które w wilgotnej Irlandii osiągają znakomitą wielkość i kolor. Najlepszymi odbiorcami są wędkarze amerykańscy. Założono w tym celu specjalne przedsiębiorstwo.

W miejscowości Acri, niedaleko Cosenza (Włochy) nieznani złodzieje ukradli dwa kościelne dzwony; przestępstwa dokonano w biały dzień, podczas popołudniowej drzemki kościelnego w zakrystii.

Konsumpcja wina w Niemczech zachodnich wynosi 10 litrów rocznie na osobę. W stosunku do okresu przedwojennego spożycie wzrosło trzykrotnie.

Na wodach Arktyki dryfuje samotnie radziecka stacja meteorologiczna, wyposażona w najcenniejsze instrumenty rejestrujące; pozabawiona zupełnie personelu ludzkiego, obsługiwana jest przez zegarowe automaty.

W miejscowości Jackson (amerykański stan Tennessee) odbył się ślub 23-letniego D. Cowlana ważącego 229 kg z 23-letnią R. Watkins, ważącą „tylko“ 170 kg; uroczystość odbyła się w cyrku, gdzie oboje pracują jako artyści.



Nauka polska w zwierciadle edytorskim

(Ciąg dalszy ze str. 2)

prawno-historecznego z prof. Tymienieckim, Łowmiańskim, Labudą, Znamierowskiem, Szczanieckim — na czele. W zakresie skryptów przeważają techniczne i przyrodniczo-rolnicze, co odpowiada sieci szkół wyższych, znajdujących się w zasięgu działalności oddziału poznańskiego, obejmującego województwa: poznańskie, gdańskie i szczecińskie.

Pierwszą publikacją wydaną przez oddział poznański PWN w czerwcu 1951 roku, był skrypt prof. Dowczeni pt. „Choroby układu nerwowego“. Pierwszą zaś książką — praca prof. Bolesława Hryniewieckiego pt. „Owoce i nasiona“, licząca 305 stron. Tłocznie poznańskie pochlubić się mogą wieli edycjami starannie i estetycznie wykonanymi. Weźmy choćby takie tytuły jak „Wielkopolski Park Narodowy“ — Urbańskiego, „Obiektywny charakter praw historii“ — Schaffa i inne, a z periodyków znane w całej Europie czasopismo „Lingua Posnaniensis“.

Spór o typ mody współczesnej

W dyrektywach dla drugiego 5-letniego planu w Niemieckiej Republice Demokratycznej znalazło się charakterystyczne hasło: „Należy przemysł konfekcyjny rozwijać z uwzględnieniem kształtowania się mody międzynarodowej“. Dyrektywa ta zakładała wieloletni zaciąg spór w NRD, czy moda zasadniczo ma mieć charakter ściśle narodowy, czy też międzynarodowy.

Były głosy w NRD i Czechosłowacji a nawet u nas, że trzeba rozwijać własny typ mody, niezależnej, a nawet w pełni odrębny od mody zachodniej. Gorliwcy uważali nawet słowo „moda“ — za przeżytek burżuazyjny i nazywać ją poczęli „odzieżową kulturą“ a domy mody — „instytutami kultury odzieżowej“. Znalazło się nawet teoretyczne uzasadnienie dla walki z międzynarodową modą. Moda — mówiono — należy w ustroju socjalistycznym do nadbudowy. Skoro więc zmienia się baza zmieniać się powinna i jej nadbudowa — moda.

Przeciwko temu wulgaryzowaniu socjalizmu wystąpiła pierwsza Moskwa i zgłosiła swój akces do „mody światowej“. Od dłuższego czasu przedstawiciele ZSRR biorą udział w wielkich wystawach mody w Paryżu, we Florencji i w Londynie — to jest w tych ośrodkach, które kształtują modę damską i męską. Wystawy wielkich magazynów w Moskwie, Leningradzie, Kijowie

i innych miastach dają pokazy mody według wzorów paryskich lub londyńskich. Mówimy, według wzorów zachodnich, ale nie niewolniczo naśladawanych. Aby się o tym przekonać wystarczy przejrzeć ostatnie numery żurnali radzieckich.

Blizsze spojrzenie na modele z Moskwy, czy innych miast, wykaże, że nowe kreacje sukien czy odzieży męskiej nie są niewolniczym naśladowaniem mody zachodniej. Każdy kraj wnosi do typów mody swój własny gust i własną cechę narodową. Prasa wschodnio-niemiecka („Berliner Zeitung“ nr 99 z dnia 27 kwietnia br.) zwraca uwagę, że „na sił polscy przyjaciele wnieśli interesujący wkład do między narodowej mody przez uwzględnienie swych tradycji narodowych. Polacy nie ograniczyli się tylko do zastosowania ludowej ornamentyki we wzorach materiałów, ale nawet dali modną skalę barw materiałowi. Na światowych wystawach mody ekspozycje polskie wyróżniają się odrębnością narodową, a mimo to nie odbiegają od międzynarodowej mody. Wystarczy jeden rzut oka, aby rozpoznać polskie, gustowne materiały, ich zdobniczo i zharmonizowane kolory“.

Na przestrzeni wieków ten lub ów kraj wyściskał piętno na ogólnej modzie, lecz w każdym kraju moda ulegała pewnym przekształceniom, a zdarzało się że wracała do macie-

rzystego kraju ze zmianami granicznymi.

W średniowieczu panowała moda hiszpańska, którą zastąpiła w czasie renesansu moda włoska. Od 200 lat Paryż dyktuje modę damską i walczą z Londynem o pierwszeństwo w modzie męskiej. Gdy kobiety idą prawie niewolniczo za modą paryską lub włoską, świat męski szuka raczej wzorów w Londynie. Godne pożałowania są oczywiście przenoszone żywce niektóre ekstrawagancje mody np. paryskiej. Żadna rozsądna kobieta czy mężczyzna nie przyjmie bezkrytycznie śmiesznie przesadnej mody tzw. egzystencjalistycznej niektórych domów mody w Paryżu lub krzyczące złym gustem amerykańskie męskie koszule lub krawaty. Nikt też nie będzie ślepo naśladował linie H-A lub X-Y w krawatach lub koszulkach męskich w modzie amerykańskiej — chyba bikiniarze.

W Niemieckiej Republice Demokratycznej dyktowała partia dla drugiego planu 5-letniego w zakresie mody — włączenia się do mody międzynarodowej, zapoczątkowała obecnie w okresie wiosennym znaczne ożywienie w produkcji konfekcji damskiej i materiałów odzieżowych. Następuje przedstawienie warsztatów produkcji na nowe typy mody. Artysci-plastycy niemieccy mają pełne ręce roboty nad nowymi wzorami, uwzględniającymi już nowinki paryskie i londyńskie.

JAKŻE TO MIŁO...

Jakże to miło być dyrektorem, jakże zazdrościć takiej osobie, że może rano albo wieczorem poczytać różne rzeczy o sobie:

Na przykład fraszkę „O dyrektora”, na przykład wierszyk „Plan i dyrektor”, i z humoreski pośmiać się może, jak na inspekcji pił z nim inspektor...

Gdziekolwiek spojrzysz — w każdym dzienniku — o dyrektora widzi artykuł, gdziekolwiek pójdziesz — z każdej estrady — o dyrektora płyną tyrady.

W domu — po pracy — radio otwiera i go ogarnia wesołość szczerą. Tak jak i wczoraj — też o tej porze — o kim audycja? — O dyrektora!

Nikt inny sławy tej nie posiada, choćby największych zalet był wzorem! Prasa i radio, film i estrada... — Czyż nie przyjemnie być dyrektorem?...

Konrad Doberschütz

MAŁŻEŃSKIE ROZMÓWKI

Ona: — Odlóż gazetę, bo rozlewasz żupę. Lepiej powiedz co słychać w biurze. Długo jeszcze będziecie siedzieli nad tym planowaniem?

On: — Tylko jeszcze przejrzę sport...

Ona: — Ciekawe ile razy chcesz z tobą pomówić nigdy nie masz czasu.

On: — Ależ kochanie...

Ona: — I to wtedy, kiedy mam zamiar mówić o twoim biurze.

On (nie odkładając gazety) — Hm, znowu Mimicka...

Ona: — A więc Mimicka. Nie przy puszczałam, że (wyjmuje chusteczkę), że i ty... pewnie, pewnie, jak kto dostaje paczki z PeKaO to się może ładnie ubierać. Ależ głupiec z ciebie. Myślisz, że ona tylko tak dla ciebie? Taka wydra to potrafi do wszystkich. Zebys jeszcze był brunet. No pomyśl, masz u siebie bruneta? No, no?...

On: — Janicki.

Ona: — A widział... Nie mówię... Dawno z nią chodzisz? Powiedz szczerze, są jeszcze ludzie, którzy mi donoszą. Taka Pietrusińska.

On (odkłada gazetę): — Ze co? Pietrusińska? Ta z zaopatrzenia? Wstępną babstko. Cały dzień plotkuje. Więc co ona gadala?

Ona: — Aha, więc jednak interesuje cię ciebie? Przyznaj się?

On: — Ależ kochanie...

Ona: — Dawno ona już u ciebie pracuje?

On: — Pietrusińska?

Ona: — Nie, Mimicka.

On: — Jaka Mimicka?

Ona: — Nie bój się. Wiem wszystko. Ale ci reka drży. Uważaj bo rozlewasz żupę. Więc w planowaniu? Zaraz tak sobie pomyślałam. Zerwiesz z nią?

On: — Z kim? Z Pietrusińską?

Ona: — Nie, z Mimicką.

On: — Przecież zrozumiem...

Ona: — Więc się wahasz? (wyjmuje znów chusteczkę). Czyżbym już dla ciebie nic nie zna-

czyła? Mimicka ci w głowie. Mogę się też cesać na „simonkę”, choć to bardzo głupie...

On: — Rzekniesz głupie.

Ona: — Więc przyznaj się?

On: — No naturalnie, żeby zaraz zmieniać czesanie, ale...

Ona (przybliża się do niego): — Więc kochasz swojego Dziubusia, prawda? Nie pozwolisz żeby jakiegoś tam babstko rozbiło nam szczęście. Zerwiesz z nią?

On: — Ależ kochanie z kim? Z Pietrusińską?

Ona (krzyczy): — Nie — z Mimicką!

On: — Z jaką Mimicką?

Ona: — Przecież się przyznałeś. Z tą „simonką” z planowania co to dostaje te paczki PeKaO. Niby do ciebie puszcza oczka a z Janickim...

On: — Ależ kochanie ja ciebie naprawdę nie rozumiem...

Ona: — A ja muszę. A mogło być tak przyjemnie. Zbyszek to Ludce kupił dyplomatę. Oni się tak kochają. Jeszcze o niej myślisz?

On: — O kim? O Pietrusińskiej?

Ona (wrzeszczy): — O MIMICKIEJ!!! I przyznasz, że już o niej nic nie będziesz mówił? Przysięgasz, prawda? Wiedzieliśmy, że wrócisz do mnie!

On (zabiera się do czytania gazety).

Kilka dni później zdumiona Pietrusińska otrzymała na czasach kartkę tej treści: „Przyznał się. Powiedział mi wszystko. Nazywa się Mimicka. Zrywa z nią. Dziekuje za żywiołowość. Szczerze oddana

S. D.”

— Och przepraszam, pan otrzyma zaraz nową porcję.

NA SZLAKACH KOMET



— Kanał — odezwał się, siedzący obok szofera profesor Kao Matsuki. — W tych wykopaliskach gnieździł się miejscowi chłop.

Bara zdała sobie nagłe sprawę, że znajduje się na cmentarzysku nieznannej historii. Jej karty stopniowo odsłaniały przed nią ludzką przeszłość. Niewątpliwie w tych warunkach można mówić tylko o wegetacji.

W surowym klimacie Marsa wiosna szła od biegunów. Zgromadzone w polarnych czapach planety śniegi topniały i woda przedostawała się ku Równikowi, dostarczając wyschniętej glebie wilgoci niezbędnej dla roślinnej wegetacji. Niewątpliwie w tych warunkach można mówić tylko o wegetacji.

„Czymże się więc żywił twórca tych podziemnych miast i olbrzymiej sieci kanałów irygacyjnych widzialnych z odległości międzyplanetarnych?”

Auto zachwiało się i zawyło na jakimś wznieśleniu. Słońce, małe, jakby oglądane przez odwróconą lornetkę, błysnęło w przerwie wale, okazując na chwilę porośniętą fioletoowymi mechami nizinę.

Bara spojrzała przed siebie. Wzdłuż drogi, po której jechali, szron również już topniał, ukazując błękitne plamy. Zdawało się, że ciemny granat nieba odbija się w ziemi, tracąc w zębkach ze szronem na intensywność.

— Mamy niezwykle ciekawe freski — zwrócił się Matsuki do Bary. — Czekamy na filologów i paleontologów. Wyjaśnij to nam wiele.

Mówił zbyt szybko i nerwowo. Barze wydawało się, że ten mały człowiek ciągle gdzieś się spieszy. Znowu auto się zakolysało, rwąc na strzępy zdania profesora. „Jaka szkoda, że trzeba wracać na Ziemię — pomyślała dziewczyna.

Przecież w ciągu paru dni nie zdążył nawet obejrzeć wszystkiego!”

Stanęli. Coś jakby kopiec widniał na przedzie. Bara wysiadła i rozglądała się z zaciekawieniem. Czerwony płaskowiec jakby ubrany w błękitną czapkę wznosił się przed nią. Daleko widniał stożek wygasłego wulkanu, a w dole pod nogami ział otwór, do którego prowadził pochylony wjazd.

Dawna droga. Mamy ich kilka — mówił Matsuki — najszersza wychodziła na północ. Profesor zatoczył ręką półkole, a potem zwrócił się do Czang-Huana.

— Idziemy od razu na Plac Posągów.

Znowu zabłysły reflektory. Po bokach światło ślizgało się po niszach i wgłębieniach. Czasami widać było okragłe ciężkie kolumnady i dziwne piramidalne konstrukcje, szerszą podstawą podpierające wysokie sklepienia, o które z rzadka tylko opierał się stożek samochodowego światła. Miejscami w głębi tuneli mrużyły lampki. Praca w podziemiach odbywała się na trzy zmiany.

Nagle za jakimś zakretem przed autem otwierała się brama jasności. Po ścianach budowli łamał się pochyły cień stalaktytów, zwisających z powłoki i wóz niebawem stanął na obszernym oświetlonym placu.

Centrum miasta — poinformował Matsuki — prawdopodobnie coś w rodzaju rzymskiego Forum Romanum. Trudno nam zresztą w tej chwili mówić dokładnie o przeznaczeniu czegośkolwiek bądź w tym świecie, zanim nie podsumujemy wyników naszych badań.

Profesor zbliżył się do dużego reflektora, zmontowanego pochylono na kamiennym posadzce, zamienił kilka słów ze stojącym obok elektrykiem i powoli obrócił reflektor. Z mroków wyłonił się rząd olbrzymich czelioskowatych postaci, stojących półkolem nad ogromną wklęsłą czaszą, na tle kamiennego masywu jakiegoś budynku. Sylwety miały przesadnie długie ręce i nogi załamane na kształt błyskawic, ogromne, jakby ścięte na płask, kłaki pierśwosy i głowy z w tył cofniętymi szczękami, zaopatrzonymi w skrzela. Jedynie środkowy, największy posąg posiadał kolistą czaszkę a resztę ciała miał okrytą pośladową falistą szatą. „Przypomina mi to asyryjskie posągi!” — pomyślała dziewczyna i znowu spojrzała na środkową postać.

Tymczasem reflektor przesunął się dalej, zataczając półkole po sklepionych portykach i fasadach, między którymi Bara spostrzegła szereg mniejszych, półokrągłych czasz.

Prawdopodobnie w tych miastach palono jakąś substancję, być może ropę naftową — powiedział Matsuki — zagadnienie oświetlenia tych podziemi, musiało być nie lada problemem dla mieszkańców, którzy znajdowali się rozwojowo na etapie pokrewnym do naszej epoki brązu i żelaza.

Po prowizorycznym obejrzeniu placu przybyli udali się do budowl wznoszącej się naprzeciwko świątyni otoczonego półkolem posągów.

Ogromna hala operowała się jednym końcem o surowe skały, które nie sęgały jednak do powłoki, tworząc na jednej trzeciej wysokości głęboki ułusk. Na skałach dziewczyna zauważyła znowu te same faliste linie. Na dole widniał blok ciemnego kamienia. Kilka re-

flektorów oświetlało całe wnętrze porwanymi smugami światła. Na ścianach widniały płaskorzeźby, z których właśnie robiono zdjęcia. Rządki, ledwo uchwytnie okiem, potężne błyskawice elektronowe zwiększały niesamowitość otoczenia. Barze przypomniały się duchy Bowskiego. Spojrzała więc na niego. Stał obok Tiny, podającą wzrokiem za smugami reflektorów.

Na freskach widać było jakieś zbiorowe sceny, przedstawiające być może wojnę, a może klęskę epidemii. Dużo postaci przedstawiono w otoczeniu figur kształtem przypominających odwrócone serca, prawdopodobnie symboli ognia. Wszystkie rzeźby były w charakterystyczny sposób zdenaturalizowane. Sprawiało to wrażenie, że po wykonaniu zostały one pocięte na fragmenty i poprzesztawiane. Tysiące przypuszczeń kotłowało w myśli dziewczyny. Czula się podniecona jak strzelec idący po tropie zwierzyni.

W pewnej chwili znalazła się w pobliżu fotografów i umówiła się z nimi, kiedy będzie mogła obejrzeć wszystkie zdjęcia. „To wszystkie pomniki sprzed milionów lat!” — myślała w zachwycie patrząc na skałę, pośrodku której świeciła ogromna wypolerowana tarcza, z której rozchodziły się promienie podobne do smug otaczających księżycowy krater Copernicusa.

Pomyślała o tym, jakby się dostać na górę, gdy w tem posłyszala w pobliżu po cichu wypowiedziane słowa.

— Patrz, co za majestat. To zbrodnia i profanacja, co oni tutaj robią. Są rzeczy wieczne...

Wychyliła się zza bloku. Na jej widok Bowski umilkł a Tina rozemknęła się.

— Szukaliśmy właśnie ciebie — powiedziała. — Jak się Ty nie boisz sama się oddalać?

— Czego mam się bać — szczerze zdziwiła się Bara, spostrzegła jednak, że Bowski łokciem daje znak Tiny, więc zamilkła.

„To tak? Czyżby jednak między nami...” Nagle posłyszala za sobą ożywiającą rozmowę. Obejrzała się i ujrzała człowieka z latarką, który żywo gestykuluje, tłumaczył coś Matsuko.

— Nieszczerliwy wypadek — posłyszala czujny głos.

Gdy zbliżyła się, człowiek z latarką mówił.

— Przysięgaliśmy na zmianę i nikogo nie zastaliśmy...

— Gdzie pracowaliście? — krótko uciął profesor.

— Pod północnym wejściem.

— Chodźmy!

Szli szybko korytarzami, zstępującymi wyraźnie w dół.

— Przed paru dniami odkryliśmy jakiś labirynt — tłumaczył Matsuki — coś jakby ujście podziemnego kanału. Znaleźliśmy części jakichś mechanizmów. Nigdzie dotąd nie spotkaliśmy czegoś podobnego, tutaj mieszkańcy nie znali nawet kół i podrobowali w lektykach. Znalezione tryby stanowi prawdopodobnie część pompy wodnej.

Profesor nagle się odwrócił i zagadnął idącego w tyle człowieka z latarką: — Czy zasypisko już odkopane?

— Od czasu gdyśmy skończyli zmianę, posunęli się najwyżej dwa metry. Znowu są jakieś posągi.

Niebawem znaleźli się na miejscu. Stropy tu były jeszcze wyższe niż poprzednie. Skały tworzące ściany nosły wyraźniejsze ślady zniszczenia. Piętno tarasy zamykały lekko wzniesione rynnę, na której opierały się o ścianę. Przy nich stało dwoje ludzi uzbrojonych w narzędzia wiertnicze.

— Tu skończyliśmy wczoraj pracę — wyjaśnił człowiek z latarką.

Bara spojrzała we wskazanym kierunku. Widniały tam niedawno odkopane fragmenty rynn, grudy odrzuconej ziemi a na świeżo odsłoniętej ścianie, pochylona ku dołowi twarz jakiejś spadającej postaci.

Wydawało się Barze, że część rzeźby była oczyszczona za pomocą kompresora powietrznego. Partie czoła lśniły jak odpolerowane, a w oczodole świeciło ciemnozielone malachitowe oko. Miał ono owalny kształt i wyglądało jak oko owada pod mikroskopem. Jak musi wyglądać świat oglądany takim okiem? — pomyślała, przypominając sobie, że kiedyś czytała coś na ten temat.

Matsuki, Erivan i Dag Rossa obejrżeli tymczasem uważnie ścianę i zlizyli się do żelaznego koła, które widniało pomiędzy rynnami.

Bara podeszła bliżej i przyjrzała mu się uważnie. Ogromne tryby były częściowo wytłumane. Po jednej stronie tarczy pozbawionej szprych, widniał drugi obwód o mniejszej średnicy z wyłożonym brzegiem.

Ciekawe! — mruknął Matsuki — to koło przedtem stało oparte o rynnę.

— Wygląda na tryb olbrzymiego zegara — powiedział Dag Rossa.

— Pracownicy dlaczego upuścili pracę — zwrócił się Matsuki do człowieka z latarką. — Informowaliście się u dyżurnego robót?

— Tak, nikt nie wychodził.

— A dlaczego ruszają koła? — Nie wiem.

Matsuki wzruszył ramionami. Barze wydawało się nagle zupełnie nieprawdopodobnym, aby w miejscu, w którym teraz stali, mogli zginąć dwie osoby. Wszyscy koło wyglądało całkiem niegroźnie.

— To jakieś nieporozumienie — powtórzył Matsuki.

Człowiek z latarką widocznie wyczuł bezpodstawność swego alarmu, gdyż rzekł usprawiedliwiająco się.

— Mieliszy polecenie zgłaszać natychmiast każdy podejrzaną wypadek.

Matsuki machnął ręką.

— To się wyjaśni, a tymczasem trzeba jak najszybciej kontynuować pracę. Proszę wzmożnić ładunki wybuchowe, ale najpierw zabezpieczyć rzeźbę.

Wracając zwiedzili jeszcze kilka wnętrz mieszkalnych. Obok gigantycznych wykutych w skałach łóżnic, niekiedy pokrytych zbitymi resztkami tkanin, wykonanych prawdopodobnie z włókien roślinnych, wszędzie można było spotkać niskie kamienne stoły, służące prawdopodobnie jednocześnie za grobowce. Ściany komnat w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od stanu zamożności właścicieli, pokryte były rzeźbami. I tu faliste motywy powtarzały się stale. Spotykano również często metalowe sprzęty codziennego użytku, których przeznaczenia niekiedy trudno było odgadnąć. Rządziej trafiły się pośmiertne szczątki mieszkańców tych lochów. Wyglądało, że ludność wyginęła powoli i szkielety, które spotykano, należały do ostatnich przedstawicieli rodu istot rozumnych na tej planecie.

Zapytany przez Barę na ten temat Matsuki rozłożył bezradnie ręce.

— Trudno cośkolwiek powiedzieć zanim nie zdobędziemy bezspornych danych. Zrozumienie symboliki tych fresków dużo by mogło wyjaśnić. Te tarcze prawdopodobnie wyobrażają słońce. Mamy poza tym kilka tablic, na których są ślady jakiegoś pisma.

Resztę dnia Bara spędziła w pracowniach mieszczących się w barakach, gdzie segregowano materiały naukowe. Na podstawie wartości lekkiego ołowiu, będącego produktem rozpadu uranu w próbkach podkładów, ustalono wiek formacji geologicznych podziemnego miasta. Udało się również ustalić w szeregu wypadkach czas przebywania pod ziemią szkieletów. Otrzymały daty zgadzały się z przewidywaniami Bary.

Później dziewczyna zajęła się studium materiału fotograficznego. I znowu zagadkowa, denaturalistyczna technika Fidiaszów tej planety, przykuła jej uwagę. Poza nielicznymi wyjątkami nie mogła uchwycić sensu baryeliefów.

Dziewczyna oglądała właśnie zdjęcie przedstawiające dwa przesunięte względem siebie półkole, które złożone razem przedstawiały tarczę, u podstawy której wyrzutowany był stożek, a nad nim, pochylając się od górnego obwodu, biegi faliste linie. „Dlaczego słońce przedstawiają oni w ten sposób?” — pomyślała, odkładając zrezygnowaną fotografię.

Wieczorem przy kolacji potwierdziła się alarmująca wiadomość usłyszana w podziemiu. Dwoje ludzi zaginęło bez śladu i wszelkie poszukiwania jak dotąd były bezowocne. Matsuki szybko zorganizował brygadę ratowniczą, która miała jeszcze raz zbadać miejsce wypadku i przeprowadzić poszukiwania.

— Jestem jak ślepy — mówił profesor, szukając się do wyjścia. — Nie ma żadnego planu, istnieć cuda.

Stojący opodal Bowski uśmiechnął się tajemniczo.

— Z tym należało się liczyć — powiedział.

— Nie rozumiem — wzruszył ramionami, dotknięty profesor, lecz nie dokończył zdania, gdyż za oknami rozległ się klakson samochodu.

W barakach pozostali tylko przybysze z Venus, którzy ze względu na zmęczenie i nieznaną okolicę nie pojechali na poszukiwania.

Po wyjściu profesora i ekipy Bowski usiadł, aby dokończyć przerwaną kolację. Dziwnie zabrzmiał w ciszy odgłos odsuwającego krzesła i brzęk sztućców o talerz.

Po chwili profesor Rigo Watt zbliżył się do stołu.

— Zdaje się, że domyślacie się czegoś o losie zaginionych kolegów? — spytał.

Bowski wytarł usta i uśmiechnął się.

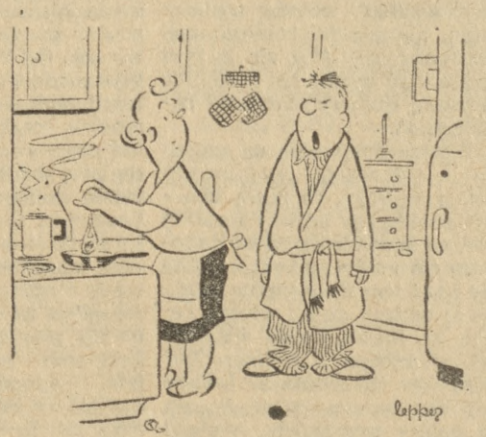
(Ciąg dalszy za tydzień)



— Acha! W pamiętniku rodzinnym jest uwaga, że gdy byłeś dzieckiem upadłeś na głowę. Teraz wszystko rozumiem.



— Czy on już poszedł?



— To wstawanie każdego rana zajmuje mi cały dzień.



...gdy będzie pan coś potrzebował, proszę zadzwonić...